

# BARTŁOMIEJ RYCHTER

**Bartłomiej Rychter** (ur. 1978)

jest prawnikiem i managerem.

Od kodeksów i umów woli jednak świat dziewiętnastowiecznych powieści, gdzie mężczyźni są silni i odważni, a kobiety piękne, choć zdradliwe.

Swoje zainteresowania



# KURS DO GENEWY

dzieli między historię rodzinnego Sanoka, lokalną drużynę hokejową oraz czytanie. Uważa, że dobra opowieść może obyć się bez wyrazistego bohatera, ale absolutnie niezbędna jest pełnokrwista bohaterka.

***Kurs do Genewy*** to jego pierwsza książka. W przygotowaniu niemiecki przekład powieści.



BARTŁOMIEJ  
RYCHTER  
**BARTŁOMIEJ  
RYCHTER**

**KURS DO  
GENEWY**

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2007  
Wydanie I  
Warszawa 2007

# Prolog

*Berlin, rok 1980*

Gdyby kobieta mieszkająca pod numerem 13 w kamienicy przy Geheimstrasse 8 wróciła do domu w porę, zauważyłaby, jak z jej mieszkania wychodzi niski człowieczek o pulchnych dłoniach i okrągłej twarzy, jak ostrożnie stąpa po schodach, przyciskając do siebie coś, co schował pod marynarką, jak wygląda przez uchylone drzwi, by szybkim krokiem wyjść na ulicę i wmieszać się w tłum przechodniów. Kobieta zajmująca mieszkanie numer 13 przyszła jednak nieco później, a winę za to ponosiły kwiaty na klombach otaczających fontannę przy sąsiednim placu. Nie mogła oprzeć się ich czarowi i przystanęła na moment, ciesząc oczy wiosenną świeżością barw.

Wróciła zatem do domu. W przedpokoju zdjęła płaszcz i buty. Szybka biblioteczki odbiła jej twarz, gdy kobieta przeszła przez salon, by otworzyć okna i wpuścić do mieszkania zapach kwitnących wzdłuż ulicy akacji. Zatrzymała się w pół kroku i zamarła. Zaraz usiadła przy sekretarzyku, wyjęła z szuflady papier listowy i szybko, tak szybko, że linie pisanego wiecznym piórem tekstu nie trzymały się linijek na kartce, skreśliła kilkanaście zdań, nie zastanawiając się nawet nad ich brzmieniem. Kiedy skończyła, nie przeczytała tego, co napisała, ale zaledwie przebiegła wzrokiem po kartce, którą następnie umieściła w kopercie. Wstała, wyszła z mieszkania i zapukała do drzwi sąsiadów. Od czasu do czasu prosiła ich syna, by odebrał z poczty paczkę, kupił papierosy lub przyniósł z kiosku gazetę. Na szczęście chłopiec był w domu. Wręczyła mu zaklejoną kopertę wraz z garścią drobnych monet. Poprosiła, by udał się na pocztę, po czym wyraźnie uspokojona, wróciła do swojego mieszkania.

Przez kilka minut krążyła bez celu między pokojami, sprawdziła, czy przychodząca dwa razy w tygodniu pomoc domowa wypastowała podłogę, a następnie uruchomiła gramofon i nastawiła pierwszą z brzegu płytę. Weszła do łazienki i napełniła wannę gorącą wodą. Zanurzyła się w kąpieli, układając kark na brzegu wanny, by nie zamoczyć włosów.

Nie mogła słyszeć kroków na schodach, bo ten, kto nimi wchodził, był tak ostrożny, że zanim dorobionym kluczem otworzył drzwi do mieszkania numer 13, najpierw długą chwilę nasłuchiwał, przyłożywszy do nich ucho, ale jedynym, co usłyszał, była melodia grana na saksofonie. Zanurzona w kąpieli, kobieta nie usłyszała kroków w przedpokoju, a nawet gdyby dotarł do niej ich cichy odgłos, wzięłaby go za dobiegający zza okna trzepot gołębic skrzydeł. Dźwięk otwieranych drzwi do łazienki nie przywrócił jej do rzeczywistości, gdyż ten, kto nacisnął klamkę, zrobił to delikatnie, i nawet gdyby zawiasy skrzypnęły zdradziecko, pomyliłaby ten dźwięk z motywem płynącej ballady. Stojąca nad wanną postać przesłoniła palącą się pod sufitem żarówkę i rzuciła cień na przymknięte powieki kąpiącej się. Kobieta przeciągnęła się i dotknęła stopą kurka. Dopiero gdy opięta rękawiczką dłoń zakryła jej usta, a stał dotknęła szyi, ofiara otworzyła oczy. Ostrze sztyletu rozcięło jej skórę. Wąska nitka krwi spłynęła wzdłuż brzegu wanny i rozpląnęła się ciemnoczerwonym pióropuszem we wzburzonej gwałtownymi ruchami wodzie.

*Kraków, ubiegłej nocy*

Tomasz Bartel spoglądał na świat w jeden tylko sposób – ponad maską swego samochodu, między ślizgającymi się po asfalcie światłami taksówki, nigdy nie zwracając uwagi na to, co dzieje się po bokach, i nie przejmując się tym, co nie dotyczyło go bezpośrednio. Dlatego gdy bladożółte smugi reflektorów jak kinowe projektory rzuciły obraz mijanych latarni na ciemne ściany kamienic, natychmiast zauważył kryjącą się przed deszczem pochyloną sylwetkę. Zwolnił, dając tym samym stojącej postaci czas na ruch ręką. Może gdyby w tej samej chwili zamontowane pośrodku deski rozdzielczej radio przerwało milczenie i głos dyspozytora podał zlecenie kolejnego kursu, Bartel odjechałby, zapominając o drobnej sylwetce po kilkuset metrach, a cała ta historia nie miałaby miejsca. Radio jednak milczało i tylko krople deszczu głucho spadały między wolno poruszające się wycieraczki.

Taksówkarz stanął przy chodniku i spojrzął w boczne lusterko, ale niczego nie dostrzegł w nocnym pejzażu, rozmytym blaskiem latarni. Ulica pogrążona była w ciszy, na fasadzie kamienicy odbiły się światła skracającego na sąsiednim skrzyżowaniu nocnego autobusu. Usłyszał odgłos szybkich, miękkich kroków i drzwi taksówki się otworzyły. W prostokacie wstecznego lusterka zobaczył, jak przemoknięta dziewczyna w ciemnozielonej kurtce wskakuje na tylne siedzenie, wciągając za sobą plecak i wpuszczając do środka zapach mokrego bruku i trawy.

– Jedziemy – powiedziała trochę zbyt głośno i pociągnęła nosem. – Proszę ruszać!

Taksówkarz pstryknął przełącznik licznika i wcisnął pedał gazu. Była trzecia nad ranem, a o tej porze – zbyt dobrze znał to z własnego doświadczenia – na ulicach działały się rzeczy, jakie można zobaczyć tylko w tanich serialach, a on zbyt długo siedział za kierownicą, by dziwić się czemukolwiek. Przez kilka minut jechał przed siebie, pozwalając prowadzić się znakom i wymalowanym na jezdni strzałkom.

– Dokąd jedziemy? – zapytał, zerkając w lusterko, ustawione w taki sposób, by mógł w razie potrzeby obserwować pasażera. Widział tylko zarys jej głowy, podświetlony wpadającym przez tylną szybę blaskiem ulicznych latarni. Mogła być rozpieszczoną córką bogatego tatusia, wracającą późno do domu, lub młodą mężatką, która po pierwszej poważnej kłótni zostawiła podbitego małżonka na firmowym bankiecie w restauracji. Mogła być prostytutką, zagubioną dziewczyną z prowincji, zbierającą na czesne i mieszkanie, a może wiecznym dzieckiem z ciągłym uśmiechem na ustach i tysiącem historii w głowie. Nie była jednak ubrana jak prostytutka, a już na pewno tak nie pachniała. Bartel nie poczuł nic oprócz świeżego zapachu nocy i deszczu. Jak każdy taksówkarz, często miał do czynienia z prostytutkami, choć nigdy nie był pewien, czy dziewczyna, którą wiezie, pracuje w tym zawodzie, czy też nie. Mylił też spontaniczną kokieterię z obmyślonym i wypraktykowanym wyrachowaniem, przypadkowe dotknięcia z wyraźną propozycją, odważne zaproszenia z ofertą handlową, i dlatego starał się unikać jakiegokolwiek kontaktu, również werbalnego, z kobietami, co do których nabierał podejrzeń. Bał się, że źle coś zrozumie, lub jeszcze gorzej – że sam zostanie opacznie zrozumiany.

Pasażerka w tej chwili była dla taksówkarza tylko skuloną, przemokniętą dziewczyną na tylnym siedzeniu starego mercedesa. Niekiedy, gdy milczący klient zamawiał daleki kurs, Bartel dla zabicia czasu ukradkiem spoglądał w lusterko i obserwując pasażera, układał w myślach jego historię. Teraz jednak nie miał żadnego pomysłu. Krótka znajomość, trwająca kilkanaście jednostek wskazanych przez taryfikator, z gatunku tych, o których zapomina się zaraz po ich zakończeniu. Jeżeli dziewczyna nawet dostrzegła w ciemności twarz taksówkarza, zapomni o niej tuż po zapłaceniu za kurs i trzaśnięciu drzwiami.

– Zna pan tu jakiś hotel? – zapytała, teraz już znacznie ciszej i spokojniej. – Niedrogi, ale czysty.



Jasne, że znał. Co drugi kurs po zmroku kończył się w takich właśnie miejscach, tanich, ale czystych. W hotelach, których hol przypominał dworcową poczekalnię, gdzie pokoje można było wynajmować na godziny, a recepcjonistka ani trochę nie dawała po sobie poznać, że dziwi ją widok starszego mężczyzny tulącego dziewczynę co najmniej dwa razy młodszą od siebie. Tanio, ale czysto. Włączył kierunkowskaz i ustawił się na właściwym pasie przed skrzyżowaniem.

Taksówkarz dostrzegł grafitowe audi, zajmujące miejsce na tym samym pasie. Przejechali skrzyżowanie, potem następne, audi wciąż trzymało się kilkanaście metrów za nimi. Bartel przyśpieszył, a sznur podwójnych punkcików w lusterku zaczął oddalać się rozmyty deszczem. Oprócz jasnych, kołyszących się w rytmie nierówności jezdni świateł audi, które przyśpieszyło wraz z nimi. „Przypadek”, pomyślał Bartel i skupił się na tym, co widział między monotennie pracującymi wycieraczkami. Zawsze dbał o to, by nie wtrącać się w nie swoje sprawy, zarówno dla dobra własnego, jak i tych, których sprawy te mogły dotyczyć. Należał do osób, które idąc chodnikiem, wpatrzone są w jeden punkt, ponad głowami innych przechodniów, i które nie spoglądają na bok bez wyraźnej przyczyny. Jednak gdy audi wjechało na część jezdni przeznaczoną dla tramwajów i zrównało się z nimi, a z jego uchylonego okna wysunęła się ręka, dając wyraźny znak, by się zatrzymali, Bartel zrozumiał, że właśnie znalazł się w sytuacji, kiedy to sprawy zaczęły dotyczyć jego samego.

Dziewczyna również zauważyła gest pasażera grafitowego samochodu.

– Proszę się nie zatrzymywać – powiedziała i przesunęła się do przodu, opierając ramiona o fotel. – Proszę jechać dalej!

Usłyszał, jak rozpina sprzączkę plecaka, po czym w jej dłoniach zaszeleścił banknot. Wydawała się nie tyle wystraszona, co poirytowana, a może nawet zaciekawiona.

– Jeżeli zgubi pan ten samochód, zapłacę podwójnie!

Tomasz Bartel nie był człowiekiem odważnym, choć nie był też tchórzem, nigdy bowiem w krytycznej sytuacji nie cofnął się w obliczu niebezpieczeństwa. Do tej pory niebezpiecznych sytuacji po prostu unikał. Gdyby zastanowił się choć przez chwilę, gdyby rozważył wszystkie „za” i „przeciw”, zapewne postąpiłby zgodnie ze swoją naturą: zaparkował w mijanej zatoczce autobusowej i pozwolił wydarzeniom biec ich własnym torem. No bo co właściwie

obchodziła go nieznajoma dziewczyna, która do jego samochodu trafiła przypadkiem. Teraz jednak zamiast pomyśleć zignorował gest mężczyzny, gwałtownie skręcił i przyspieszył, a reflektory grafitowego audi błysnęły w lusterkach. „To nie mój problem”, pomyślał, zatrzymując się przed kolejnym skrzyżowaniem niemal na białej linii. Tutaj ulica, którą jechali, łączyła się z trasą wylotową. Lukusowy samochód stanął trzy miejsca za nimi, ale taksówkarz doskonale widział w lusterku jego przednią szybę i zarysy siedzących postaci. Światła zmieniły się na żółte, a potem na zielone, ale Bartel nie ruszał. Stojący tuż za taksówką biały bus zatrąbił, spróbował ruszyć, ale wysoka krawędź wysepki skutecznie uniemożliwiła wyminięcie taksówki. Bartel czekał spokojnie, wsłuchany w miarowe stukanie kierunkowskazu. Dziewczyna siedziała w milczeniu. Nawet jeżeli była zdenerwowana, nie dawała tego po sobie poznać, co utwierdziło go w przekonaniu, iż jadący za nimi samochód to tylko część jakiegoś żartu, błahej historii czy szczeniackiego wyglupu. W pewnym momencie poczuł nawet podniecenie tym nocnym pościgiem. W końcu światła zmieniły się na żółte i zaraz na czerwone. Rząd ustawionych po prawej stronie samochodów powoli ruszył, gdy Bartel gwałtownie wrzucił bieg i przemknął im z piskiem tuż przed maskami, rozbrzgując stojącą w kałużach wodę. Taksówka przechyliła się na ostrym łuku jak odrzutowiec, opony darły asfalt, a zza szyb okrążyła ich panorama jasno oświetlonego miasta. Przyspieszenie wcisnęło taksówkarza w fotel, a dziewczynę rzuciło na boczne drzwi. Przemknęli przez skrzyżowanie, zostawiając za sobą ryk klaksonów i nieme przekleństwa kierowców.

Taksówkarz wyrównał, zmienił bieg na wyższy i uważnie rozglądał się na boki, szukając dogodnego zjazdu. Szalony manewr na skrzyżowaniu mógł dać im najwyżej kilkadziesiąt sekund przewagi.

- Zgubiliśmy ich? - zapytała dziewczyna. Miała w tej chwili w sobie coś z rozbawionej własnym psikusem dziewczynki.

- To się okaże.

Bartel przejechał przez dwa kolejne skrzyżowania, za każdym razem przeslizgując się na żółtym świetle. Przez chwilę rozważał myśl, czy nie wjechać na pograżony w ciemnościach parking supermarketu i sprawdzić, czy kierowca audi dał za wygraną, czy też próbuje ich ścigać. Parking miał jednak tylko jeden wąski wjazd i mógł stać się pułapką. Taksówkarz zwolnił i skręcił w jednokierunkową między blokami. Przez chwilę kluczył w ciemnym labiryncie, stara-

jąc się znaleźć wyjazd na główną ulicę. Uważnie spoglądał w lusterka, wypatrując w ciemności halogenowych reflektorów ścigającego ich samochodu. Wytarł z potu najpierw jedną, potem drugą dłoń, spojrział w wewnętrzne lusterko. Dziewczyna siedziała spokojnie. Na końcu języka miał już pytanie o tajemniczy samochód jadący ich śladem, ale powstrzymał się. To nie był jego problem, on miał jedynie dowieźć dziewczynę. Zatoczył koło i zawrócił.

Grafitowe audi pojawiło się nagle, wyjechało z bocznej ulicy z wyłączonymi światłami i gwałtownie zajęchało im drogę. Opony zapisały na mokrym asfalcie, a Bartel szybkim ruchem kierownicy wprowadził samochód na chodnik i przyśpieszył. Taksówka przechyliła się, jadąc jednym kołem na krawężniku. Przemknęli obok blokującego jezdnię samochodu tak blisko, że ich boczne lusterka się roztrzaskały. Kierowca audi natychmiast wrzucił wsteczny i zawrócił niemal w miejscu, a ostre światło wypełniło ciemne wnętrze mercedesa i odbijając się od lusterka, oślepiło taksówkarza. Bartel mocno ścisnął kierownicę, szukając możliwości skrętu w prawo, a za szybą, szybko jak bramki w czasie biegu zjazdowego, migły latarnie. Kreska wskaźnika przesunęła się z impetem po zielonkawej tarczy prędkościomierza, a zarysy mijanych budynków zwały się w ciemną masę. Uliczka zwęziła się i kierowca audi musiał zwolnić i jechał za taksówką, ale gdy tylko droga na powrót się rozszerzyła, wykorzystał większą moc silnika, zrównał się z uciekającym samochodem i dał kierownicą w prawo. Samochody otarły się o siebie ze szczękiem. Taksówka wypadła na chodnik. Bartel aż zmrużył oczy, gdy kosz na śmieci przeleciał przez maskę i o włos mijając przednią szybę, przefrunął ponad dachem. Taksówkarz skontrował i wprowadził samochód na jezdnię, ale audi wykorzystało okazję i wysunęło się do przodu. Jego kierowca wyprzedził taksówkę, zahamował i ostro skręcając, wprowadził samochód w kontrolowany poślizg, tarasując całą szerokość uliczki. Bartel zareagował błyskawicznie. Wcisnął hamulec i pochylił głowę. Usłyszał jeszcze, jak jadąca bez zapiętych pasów dziewczyna uderza najpierw o jego fotel, a potem z jękiem wbija się barkiem w drzwi taksówki. Maskę mercedesa przechyliła się do przodu, samochód niemal dotknął zderzakiem asfaltu i zakreślił się w poślizgu. Przez dobre kilka metrów sunęli bokiem siłą rozpędu. Bartel modlił się w duchu, aby pozbawiony kontroli samochód trzymał się jezdni, obawiając się, że gdy wyrzuci ich między drzewka na trawniku, czekać go będą spore wydatki. Gdy

samochód całkiem wytracił prędkość, Bartel odpiął pas i odwrócił się, chcąc sprawdzić, co stało się z dziewczyną, ale w tym momencie ktoś otworzył drzwi taksówki i para silnych rąk chwyciła taksówkarza za gardło, przyduszając kołnierzem jego własnej kurtki. Ktoś wyciągnął go z samochodu. Bartel spróbował odepchnąć napastnika, ale ten był silniejszy. Napastnik, wysoki mężczyzna w ciemnym garniturze, wprawnie podciął taksówkarzowi nogi i pchnął go na samochód, zaciskając jednocześnie chwyt na jego szyi. Bartel poczuł, że traci przytomność.

– Chciało ci się zgrywać bohatera, co? – Głos mężczyzny drżał od przyspieszonego oddechu i emocji. Taksówkarz zdążył zauważyć jeszcze starannie wyprasowane klapy ciemnej marynarki i śnieżnobiały romb kołnierzyka. Niesygnalizowane, wyprowadzone z lekkiego półobrotu uderzenie zmiażdżyło mu żołądek i całkiem odebrało oddech. Skulił się gwałtownie, a mocne kopnięcie wybiło mu ziemię spod stóp. Opadł na kolana i z trudem łapał ustami powietrze jak ryba wyrzucona z wody. Poczul zapach trawy i wody kolońskiej.

– Nie wiesz, w co się wmieszałeś, debilu! – Taksówkarz otworzył oczy i dostrzegł swoją twarz odbitą w kałuży, pośrodku której kłęczał. – Było ci to potrzebne?

Bartel nie odpowiedział, zgięty wpół, starał się odzyskać oddech, choć nawet gdyby był w stanie mówić, nie potrafiłby znaleźć sensownej odpowiedzi.

– Dziewczyna! – krzyknął drugi męski głos gdzieś z boku. – Bierz samochód!

Czubki butów zniknęły Bartelowi przed oczu. Usłyszał, jak uderzają o chodnik, oddalając się coraz bardziej od miejsca, w którym kłęczał. Graficzne audi ruszyło uliczką, omiatając reflektorami ociekające niedawnym deszczem zarośla. Silnik grzmiał głucho jeszcze przez chwilę, cichł stopniowo, aż w końcu zamilkł, zagłuszony przez ujadającego w oddali psa. Po chwili Bartel słyszał już tylko własny oddech i przyspieszone tętno w uszach.

Ciemne bryły bloków, tworzące ciasny kanion osiedlowej uliczki, zaczęły rozjaśniać się pojedynczymi światłami. Ktoś coś krzyczał przez uchylone okno, ujadanie psa przybierało na sile.

Bartel wstał z trudem, bardziej z powodu strachu niż bólu, i usiadł za kierownicą. Włączył silnik i ruszył przed siebie.

Obudził się tuż przed południem i w jednej chwili poczuł smak wypitego przed zaśnięciem alkoholu. Skrzywił się i sięgnął po stojącą przy łóżku szklankę, w połowie wypełnioną herbatą. Od zawsze miał kłopoty z zasypianiem, a wydarzenia ubiegłej nocy zupełnie wytrąciły go z równowagi. Aby zasnąć, musiał sięgnąć po stale obecną w lodówce porcję najpewniejszego środka nasennego, mieniając się matowym światłem butelkę z mlecznego szkła. Nie trapiły go problemy z alkoholem, choć czasem miewał kłopoty, a coś mocniejszego miał pod ręką prawie zawsze. Pił niewiele i nie za często, ale kiedy samotnie spędzane wieczory dłużyły się szczególnie smętnym milczeniem, nalewał sobie pół szklanki, czasem trochę więcej. Byłe do rana. Oglądał wtedy telewizję, przeskakując z kanału na kanał i szukając ładnych widoków, pięknych kobiet lub szybkiej akcji. Kiedy miał wolny wieczór, siedział przed telewizorem do późna, z pilotem w jednej ręce, w drugiej zaś, w zależności od nastroju i natężenia bezsenności, trzymał butelkę ulubionego piwa lub szklanczkę ze schłodzoną wódką. Kładł się do łóżka, kiedy był całkiem pewien, że zaśnie bez niekończącego wsłuchiwania się w odgłosy nocy dobiegające zza okna i te bliższe, zza ściany, gdy był pewien, że sen skutecznie wybawi go od natrętnych wspomnień o zdarzeniach, które miały miejsce przed laty, a dziś właściwie nie miały znaczenia, oraz o kobiecie, której zdjęcie włożone było w którąś z nieczytanych książek i która tak naprawdę również nie miała już dla niego znaczenia.

Otworzył oczy i jak zwykle w pierwszej chwili nie pamiętał, jaki jest dzień tygodnia. Wszystkie wyglądały dla niego tak samo, wszystkie zaczynały się w wąskim łóżku, w pustym mieszkaniu niemal bez książek, w którym punktem centralnym był ustawiony naprzeciw starego fotela telewizor. Jedynym śladem obecności kogoś innego niż główny lokator była ustawiona przy drzwiach wejściowych miseczka, którą wieczorami i rankami Bartel wystawiał na klatkę dla trochę oswojonego rudego kocura. Dni tygodnia praktycznie nie różniły się, były samymi nazwami, siedmioma słowami o jednym znaczeniu; w kuchni wisiał domowy kalendarz, którego zrywane kartki zatrzymały się na dacie z połowy ubiegłego roku.

Ubrał się i włączył radio. W łazience spoglądał podczas golenia na swoje odbicie w brudnym lusterku: szara, pociągła twarz, na której pierwsze zmarszczki odciskały się coraz wyraźniej, tak typowa, że niemal niezauważalna. Lodowato zimna woda usunęła

z oczu przekrwione plamki, ale nie uspokoiła go na tyle, by dłoń bez drżenia mogła prowadzić maszynkę wzdłuż krzywizn twarzy. Dokończył golenie, splukał twarz i wytarł się ręcznikiem. W kuchni nastawił wodę na herbatę, a do kubka włożył dwie torebki wyjęte z wielkiego blaszanego pudełka. Jak zwykle w lodówce nie miał niczego, co mógłby zjeść na śniadanie. Siedział przy stole i spoglądał na podwórko przed blokiem, na zaparkowanego w cieniu drzewa starego mercedesa.

Z kubkiem pełnym gorącej herbaty wrócił do pokoju. Stał na środku, rozejrzał się w poszukiwaniu porzuconych gdzieś spodni, spojrzął na szafkę przy lustrze i zamarł. Stał przez długą chwilę, z kubkiem herbaty na wysokości bioder, wpatrując się w to, co leżało na drewnianej szafce. Usiadł w fotelu, a przed oczyma przewinęły mu się sceny z ubiegłej nocy: dziewczyna na tylnym siedzeniu, ostatni kurs zakończony ucieczką ulicami Krakowa i bolesne spotkanie z mężczyznami jadącymi grafitowym audi. Siedział tak, dopóki herbata w kubku nie wystygła. Wtedy dopił ją kilkoma szybkimi łykami, raz jeszcze spojrzął na szafkę i poczuł, jak coś ciężkiego i zimnego osuwa mu się przełykiem i zagnieżdża w żołądku.

Nie miał czasu, by spokojnie przemyśleć ostatnie wydarzenia, ale sądził, że cały ten pościg, uciekająca dziewczyna i grafitowy samochód mknący w szalonym pędzie po szynach tramwajowych były efektem jakiegoś dziwnego zakładu, konsekwencją sceny zazdrości, jaką kierowca audi urządził dziewczynie, która potem związała mu taksówką, a on, nie chcąc stracić twarzy przed kumplami, za wszelką cenę chciał ją dogonić. Mogło istnieć tysiąc powodów, dla których faceci z audi chcieli złapać dziewczynę, a on sam wpłatał się w tę historię przez przypadek. Dziewczyna, być może, leży teraz w zmiętej pościeli razem z kierowcą tamtego samochodu, w łóżku, w którym skończyła się dla nich dzisiejsza noc, i ze śmiechem wspomina cały ten pościg, a on przechwala się, jak przyłożył taksówkarzowi, którego twarzy pewnie nawet nie zauważył. „Być może – myślał Bartel – wydarzenia te definitywnie zakończyły się w kałuży”, gdzieś w labiryncie wąskich osiedlowych uliczek, skąd wrócił nad ranem do swojego mieszkania. „Być może – łudził się – wszystkie te wydarzenia nie będą miały żadnych konsekwencji, żadnego ciągu dalszego, a z czasem staną się nic niewartym wspomnieniem”. Ale nadzieje te niebezpiecznie podważył przedmiot leżący na szafce przy jego łóżku.

Mały ciemnozielony plecak, który dziewczyna zostawiła ubiegłej nocy na tylnym siedzeniu. Zabrał go na górę nad ranem, kiedy zaparkował mercedesa pod blokiem i zauważył ciemny kształt za fotelem kierowcy. Teraz plecak leżał na szafce, między lampką a budzikiem z pękniętym szkiełkiem. Jeszcze przed zaśnięciem otworzył sznurowaną górę i zajrzał do środka. To, co tam się kryło, zdziwiło taksówkarza jeszcze bardziej. Nie wiedział, co zrobić. W zasadzie mógł wyrzucić do Wisły plecak wraz z jego zawartością. Przedmiot ten był materialnym dowodem potwierdzającym prawdziwość wydarzeń ubiegłej nocy. Plecak był też śladem jego udziału w całej tej historii. „Powinienem go wyrzucić” – pomyślał.

Ale go nie wyrzucił.

Miał wolne do obiadu, ale postanowił wyjechać wcześniej. Zgłosił się przed radio do dyspozytora i ruszył w miasto. Po drodze kupił nowe boczne lustro i przykręcił je od razu w miejsce starego, urwanego ubiegłej nocy. Pierwsze zlecenie otrzymał, zanim jeszcze silnik rozgrzał się na dobre. Elegancko ubrany blondyn zamówił kurs do dzielnicy domków jednorodzinnych, przez całą drogę rozmawiał przez komórkę, tłumacząc się z nocnej narady i ścierając drugą dłonią ślady ciemnoróżowej szminki z szyi. Potem dwie studentki w drodze na uczelnię, zapach drogich perfum i dwuznaczne uśmiechy, spódniczka tej, która usiadła w przednim fotelu pasażera, podwinięta wysoko nad połową uda, tłumiony śmiech tej siedzącej z tyłu i wysoki, zbyt wysoki napiwek na końcu trasy. Wiedział, że kobiety uważają go za atrakcyjnego, mylnie biorąc właściwy jego twarzy wyraz znudzenia i chłodnego dystansu do otoczenia za przejaw życiowej dojrzałości i doświadczenia. Nie zwracał na nie uwagi, ale im podobało się to jeszcze bardziej, niż gdyby zjechał z kursu pod najtańszy motel w mieście i zaproponował kilka miłych chwil w pokoju na godziny.

Dwa kursy między bankami, potem zlecenie zakupów: cztery flaszki wódki i karton soku porzeczkowego, odebrane przez faceta w białym podkoszulku i krawacie zawieszonym na ramieniu. Po tym kursie zrobił sobie małą przerwę pod blaszaną budką z chińskim żarciem, popijając smażonego kurczaka wielkim kubkiem coli. Posiłek przerwał mu trzask radiowych zakłóceń i głos dyspozytora, zgłaszający kolejne zlecenie. Gdy tak jeździł zapchanymi ulicami Krakowa, przeciskając się przez skrzyżowania, przepuszczając tram-

waje i biegających po przejściach pieszych, Bartel prawie zapomniał o wypadkach ubiegłej nocy. Prawie nie myślał też o przedmiocie we wnętrzu plecaka, który leżał teraz na jego szafce.

Zabrał kobietę z pokazną walizką na dworzec kolejowy, przez kilkanaście minut kręcił się taksówką po centrum, stojąc w korkach i gapiąc się na spódniczki dziewczyn. Po kolejnej godzinie pojechał na postój. Był to szeroki, wyżwirowany plac, wciśnięty między supermarket a osiedle z trzypiętrowymi blokami i zaniedbanym skwerem. Zaparkował i wysiadł z samochodu. Przez chwilę chodził między taksówkami, witając się z kolegami. Znał ich wszystkich po imieniu, choć z żadnym nie utrzymywał bliższych stosunków. Nie miał rodziny, nie mógł więc złapać kontaktu z tymi, na których w domach czekały żony, nie lubił nocnych wycieczek po knajpach i dlatego nie przestawał z tymi, którzy spędzali czas na szukaniu kobiet lubiących przygody. W zasadzie trzymał się z dala od brudnych interesów, nigdy nie brał niczego w komis, żadnego białego proszku, zielonych liści ani kolorowych dropsów, które niektórzy kierowcy wozili pod fotelem, a dzięki którym mogli potroić dochody. Wszyscy ci, którzy lubili w ten sposób dorobić do pensji, zachowywali wobec niego dystans, obawiając się, czy aby nie chce za dużo wiedzieć. Dlatego Bartel ograniczył się tylko do podania ręki kierowcom stojącym w kolejce taksówek i wrócił za kierownicę swojego samochodu, gdzie rozsiadł się wygodnie. Z lektury gazety wyrwał go szum ciężko pracującego silnika.

Czarne bmw, nisko zawieszony i ze skorodowanymi, pokrytymi łuszczącą się farbą listwami, wjechało na parking pod kasztanami tak, jak jego kierowca czynił to za każdym razem: okrążając plac na dużej prędkości, nie zwalniając na łukach i obsypując wystrzeliwanymi spod kół kamykami gołębie. Samochód przejechał tuż obok mercedesa i zatrzymał się gdzieś poza zasięgiem wzroku taksówkarza. Bartel spojrzął w boczne lusterko. Kierowca bmw zaparkował w cieniu, przodem w kierunku wyjazdu na główną ulicę, a z wnętrza samochodu wysiadło dwóch mężczyzn. Znał ich każdy taksówkarz, który nocami jeździł między klubami i dyskotekami a tanimi hotelami z podpitymi mężczyznami, mającymi ochotę na mocny koniec przeciągającego się po świt wieczoru. Znał ich każdy, kto miał okazję sprzedać małodatom w szerokich spodniach pudełko zapalek wypełnione po brzegi suchymi, zielonymi liśćmi o ostrym zapachu lub woreczek białego proszku, specjalnie dla młodych lu-



dzi o wyglądzie urzędników bankowych, w drogich garniturach i z eleganckimi zegarkami na rękę. Prędzej czy później poznać ich musiał każdy, kto wożąc rozmaitych ludzi, od czasu do czasu słyszał coś, co dla kogoś innego mogło mieć wymierną wartość: kto komu pożyczył pieniądze, kto je oddał, a kto się ukrywał. Taksówkarz zamknął drzwi, nie zwracając uwagi na zaduch i pot lejący się wzdłuż szyi za kołnierz. Skupił się na gazecie.

Wolne kroki na rozgrzanym słońcem żwirze ucichły tuż obok taksówki, a zaraz po tym pukanie w boczną szybę zmusiło Bartela do podniesienia wzroku. Tuż nad nim, wsparty o dach samochodu, pochylał się wysoki mężczyzna o smagłej twarzy i czarnych jak noc oczach. Leon, bo pod takim imieniem Bartel znał pukającego w szybę, miał prawie dwa metry wzrostu i cokolwiek by robił, wyglądało to niezdarnie i komicznie, tak jakby impulsy biegnące z ostrzyżonej na żołnierską modłę głowy do chudych członków potrzebowały więcej czasu niż w wypadku zwykłych ludzi. Leon był jednym z tych typów, którzy całe dnie spędzali w przesiąkniętych zapachem uryny bramach lub brudnych klatkach schodowych, a wychodząc z domu bez składanego noża w kieszeni spodni, czuli się tak, jak w deszczowy dzień ludzie, którzy zapomnieli parasola. Drugiego z mężczyzn, stojącego trochę z boku, Bartel nie znał, ale nie miał kłopotów z jego zaklasyfikowaniem. Krótco przystrzyżone włosy i spuszczone wzdłuż ciała ręce o nieco zaciśniętych palcach, oddalone od tułowia o dobrych kilkanaście centymetrów, tak by opięte skórzaną marynarką barki robiły wrażenie szerszych, niż były w rzeczywistości. Wzrok miał pewny, nieco wyzywający i trochę bezczelny.

Bartel opuścił boczną szybę i wyłączył radio.

– O co chodzi? – zapytał. – Proszę podejść do przodu. Mamy tu kolejkę.

– Wyskakuj. – Leon skrzywił się i sam sięgnął do klamki. – Musimy pogadać. – Wykonał dłonią gest w stronę zaparkowanego po drugiej stronie placu samochodu. – No już.

Taksówkarz wysiadł, zatrzasnął drzwi i mrużąc oczy, rozejrzał się, ale parking momentalnie stał się cichym i pustym miejscem. Bartel poczuł w brzuchu coś zimnego i lepkiego, mimo kompletnie suchego gardła przełknął ślinę i wiedząc, że faceci w skórzanych kurtkach doskonale zdają sobie sprawę z jego strachu, ruszył między nimi w stronę czarnego bmw. Zanim jeszcze doszedł do samo-

chodu na tyle, by rozpoznać siedzącą w środku osobę, wiedział już, z kim będzie miał do czynienia.

- Cześć - z tylnego siedzenia odezwał się całkiem przyjaznym głosem Teodor, niski, krępy mężczyzna o szerokim karku zapaśnika, nalany podbródki i gładko wygolonej kanciastej czaszce. - Wsiadaj. - Wykonał zapraszający gest i przesunął się w głąb samochodu.

- Cześć - odpowiedział Bartel i przełożył nogę nad skorodowanym progiem.

Teodor, z uśmiechem przyklepionym do masywnej twarzy, wyglądał bardziej na dawno niewidzianego serdecznego kumpla niż gościa, który żył z tego, co udało mu się siłą wydrzeć innym. Miał właściwą tylko kameleonom i tanim małym gangsterom umiejętność wtapienia się w otoczenie. Kiedy stał za barem swojej dyskoteki, sprawiał wrażenie restauratora troszczącego się o dobrą zabawę gości i spokój na sali, w czasie objazdu interesów, na skórzanej kanapie czarnego bmw, wyglądał jak uliczny zbir o wysokiej samoocenie i przeciętnej pozycji w hierarchii przestępczej, mimo iż z jego zdaniem musiał liczyć się cały półświatok miasta. Siedział z rozłożonymi szeroko ramionami i dłońmi wplecionymi w chromowane usztywnienia zagłówków, w takiej pozycji jego pękaty brzuch, opięty teraz jedwabną koszulą, unosił się nieco, odsłaniając pasek z krokodylej skóry, kupiony w jednym z najdroższych sklepów w Krakowie. A przecież nie tak dawno siedział na składanym turystycznym krzeselku - za polowym łóżkiem, ze stertą wełnianych skarpet i podróbek dżinsów przemycanych z Turcji - które z czasem zamienił na osłonięte blaszaną wiatą stoisko, a to z kolei po upływie kilkunastu miesięcy na zadymiony lokal w zaadaptowanej wilgotnej piwnicy pod starą kamienicą. Szybko odkrył, że z taką samą łatwością, z jaką przychodziło mu wręczanie łapówek strażnikom miejskim patrolującym bazar, można podejmować inne działania, przynoszące jeszcze większe zyski, a stróżę prawa są tak samo podatni na widok kilku pachnących nowością banknotów ukrytych w niezaklejonej kopercie. Zarówno teraz, jak i wtedy miał przy sobie ludzi pokroju Leona. Swój sukces zawdzięczał brakowi skrupułów i w jeszcze większym stopniu brakowi wyobraźni. Kiedy inni uważnie analizowali swoje działania pod kątem ich późniejszych konsekwencji, on po prostu działał. Kiedy dawno temu zimową nocą oblewał benzyną drewniany barak z odzieżą, który naprzeciw-

ko bazaru wystawił konkurent niezbyt skory do układów, nie myślał o tym, że wszystkie podejrzenia padną właśnie na niego, jako tego, który z pożaru odniósł największą korzyści. Poranek odsłonił zwęglone zgliszcza ogrodzone policyjną taśmą, i tak handlarz tureckimi dżinsami otrzymał pierwszą teczkę w wydziale śledczym i zdobył szacunek całego bazaru. Później wydarzenia potoczyły się szybko, zupełnie jak w filmie. Dzięki temu mógł teraz pozować na gangstera w starym stylu, ale choć bardzo chciał przypominać Vito Corleone, dżentelmena w garniturze, z drogim sygnetem na palcu, bardziej był podobny do Tony'ego Soprano.

- Przejedziemy się, co? - bardziej stwierdził, niż zapytał gangster, a siedzący za kierownicą chłopak w dresie, kiedy tylko Bartel zajął miejsce na tylnej kanapie, wcisnął gaz i bmw ruszyło. Bartel, kątem oka, nie odwracając głowy w kierunku szyby, śledził trasę i starał się odgadnąć cel podróży. Już raz, jakiś czas temu, jechał na tylnej kanapie tego samego bmw; miał wtedy spore problemy nie tylko z siedzeniem, ale i z patrzeniem, a przedmiotem troski Teodora była jedynie obawa, czy taksówkarz nie zabrudzi krwią eleganckiej, choć nieco sfatygowanej i w kilku miejscach przetartej tapicerki. Wspomnienie tamtych chwil nie było miłe, Bartel skoncentrował się więc na kołyszącej się futrzanej kostce do gry przy wewnętrznym lusterku.

- Co tam u ciebie słyhać? - zapytał głośno Teodor, patrząc z ukosa na sztywno siedzącego Bartela. - Wszystko po staremu, co?

- Wszystko po staremu - odparł pogodnie taksówkarz.

- A u mnie, widzisz, co chwila coś nowego. Kompletnie urwanie głowy - gangster mówił tym samym tonem, jakim nie tak dawno zwierzał się z kłopotów kumplom z bazaru, zanim jeszcze odkrył, że są równie nieprzygotowani do nowych czasów jak on, a mają znacznie większe skrupuły i o wiele mniejszą determinację, by działać. - A co słyhać u tej, no... - Udał zamyślenie, głęboko marszcząc brwi, po czym pstryknął palcami. - Jak też ona miała na imię? - Potarł czoło dłonią, czekając, aż taksówkarz dokończy i wymówi imię, które obaj pamiętali doskonale, lecz Bartel, choć wiedział aż za dobrze, milczał jak grób.

- Karina. - Teodor się ucieszył, zupełnie jakby nagle je sobie przypomniał. - Właśnie, co słyhać u Kariny?

- Nie wiem.

– Nie wiesz? – Gangster udał zdziwionego. – Żadnych wiadomości? Żadnych listów? Telefonów? Choćby kartki na święta?

Teodor gwałtownie obrócił głowę za dziewczyną stojącą przy przejściu dla pieszych. Uderzył dłonią w kark kierowcy, a ten klaksonem wyraził uznanie dla jej odsłoniętych kształtów.

– Obejrzała się, widziałeś? – Gangster się zaśmiał. – Wszystko przez te baby, co nie? – Odwrócił się do Bartela. – Uśmiechnie się taka, pokręci tyłkiem, a facetom wali do głowy jak po ciepłej wódce. Mam rację?

– Jasne.

Choć Bartel bardzo starał się przed tym powstrzymać, jego wyobraźnia przywołała wspomnienie twarzy, której podkreślona pastelowym makijażem uroda zwracałaby uwagę równie dobrze w paryskiej kawiarni lub rzymskim bistro, co w zatłoczonej taniej dyskotekce, w podchodzącej wilgocią piwnicy krakowskiej kamienicy. Było to dawno temu, w czasach, kiedy jeszcze zdarzało mu się spędzać wieczory w takich miejscach, gdzie samotnie pił piwo i przyglądał się dziewczynom tańczącym między pulsującymi światłami. Ona nie tańczyła, siedziała spokojnie przy stoliku, patrząc dookoła nieobecny wzrokiem. Nie była sama, jej towarzystwo co jakiś czas wymieniało się z tańczącymi na parkiecie, ale ona tylko siedziała i patrzyła przed siebie, paląc papierosa. Po kilkadziesiąt minutach i kilku piwach zdecydował się wstać i poprosić ją o taniec lub chwilę rozmowy. Gdyby to przemyślał, gdyby się zastanowił, zamiast wstawać, zamówiłby kolejne piwo i poprzestał na patrzeniu. Na krótką chwilę stracił ją z oczu, zasłoniętą przez chłopaka z kuflem piwa w dłoni, a gdy dostrzegł ją na powrót, rozmawiała z facetem w skórzanej kurtce. Jakiś czas stał, blokując drogę na podświetlany parkiet, a gdy zauważył, że tamten bierze dłoń dziewczyny, zdecydował się wrócić na miejsce. Dziewczyna jednak gwałtownym ruchem uwolniła rękę i ostentacyjnie odwróciła się, sięgając po drinka. Mężczyzna w skórzanej kurtce zrobił ruch, jakby miał odejść, ale nagle zamachnął się szeroko ramieniem i uderzył dziewczynę, która przewróciła się na podłogę, pociągając za sobą stolik i obity pluszem fotel. Bartel, niewiele myśląc, przecisnął się przez tłum wokół leżącej dziewczyny. Chwycił tamtego za poły pobrzękującej klamrami kurtki i precyzyjnym wejściem kolanem w podbrzusze zgiął go w pół, a następnie szerokim prawym sierpowym cisnął w zgromadzonych wokół

gapiów. Po czymś takim facet nie miał prawa wstać. Bartel odsunął stolik i pomógł podnieść się dziewczynie. Płakała, część jej twarzy pokrywał pulsujący czerwienią owal wielkości męskiej dłoni. Bartel zauważył ruch za barem i trzech rosłych ochroniarzy przeciskających się między ludźmi, chwycił więc szybko jej rękę i pociągnął dziewczynę w stronę wyjścia.

- Dziękuję - powiedziała miękko z wyraźnym, nieco śpiewnym akcentem, a on ruchem dłoni zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. Nie wiedział, dokąd ją odwieźć, milczała, a on nie pytał i zabrał ją do siebie. Milczała, gdy odważył się objąć jej talię na schodach, gdy musnął ustami jej włosy już w drzwiach mieszkania. Milczała, gdy w ciasnej, zagraconej łazience obmywał jej twarz chłodną wodą, pozbawiając ją przy tym makijażu, ale nie spokojnego, ciepłego piękna. Sam już nie pamiętał, jak znaleźli się w łóżku, choć dziś jeszcze czuł pod palcami jej wilgotne ciepło. W jej ramionach odnalazł spokój, którego szukał, i spełnienie, którego potrzebował. Pachniała dymem tanich papierosów, balsamem do ciała i ich wspólnym potem. Całował jej usta, czując w ich ciepłe cierpki smak alkoholu, wodził po nich językiem, upijając się jej smakiem. Kochali się powoli i spokojnie, choć nie znali swych imion. Nie była pierwszą ważną kobietą w jego życiu, jej twarz nie była twarzą z pogiętego zdjęcia wciśniętego w nieczytaną książkę, ale tej nocy była najważniejsza. Kiedy obudził się następnego ranka, miejsce koło jego boku było ciepłe, lecz puste. O tym, że była własnością, wyłączną własnością innego mężczyzny, dla którego pracowała i który mógł dysponować nią wedle własnego uznania, dowiedział się kilka dni później. Dopiero wtedy poznał jej imię. Zgarnęli go z parkingu przed domem w biały dzień, na oczach sąsiadki wyprowadzającej płowego kundla. Już mocno naruszonego, wciągnęli do samochodu i wywieźli za miasto, gdzie połamali mu szczękę, nos i kilka żeber. Zanim stracił przytomność, leżąc z twarzą wciśniętą w podeptaną ich buciorami trawę, usłyszał jeszcze kilka życiowych nauk. Dziewczyna pracowała w agencji, w której Teodor miał swoje udziały. Tego wieczora, kiedy wybiegli z zatłoczonej dyskoteki, ona była w pracy, a facet, którego posłał na deski, mógł być jej klientem. Mężczyźni wytłumaczyli mu to tak dokładnie, że Bartel prawie dwa tygodnie przeleżał w szpitalu. Wiele razy zastanawiał się, czy tym, co zrobił, zasłużył bardziej na wdzięczność dziewczyny, czy też przeciwnie, zepsuł jej pozycję na rynku, przeszkodził w interesach i zmusił do wyjazdu

w inny rejon kraju, a może nawet za granicę, do Niemiec, lub z powrotem, na Ukrainę.

– Żadnych listów – potwierdził Bartel, uwalniając się od natrętnego spojrzenia jasnoniebieskich oczu oraz od wspomnienia ciepłych ust i gładkiej, prawie przezroczystej skóry. – Nawet telefonu.

Teodor roześmiał się na cały głos. Urażoną dumę już dawno uleczył widok zwiniętego w kłębek, skamlącego naiwniaka, który odważył się wyciągnąć rękę po nie swoją własność, a w miejsce złości pojawiła się trudna do wytłumaczenia irracjonalna sympatia, dająca o sobie znać za każdym razem, kiedy Teodor w czasie alkoholowych libacji opowiadał kumplom o głupim taryfiarzu, który dostał łomot za obronę honoru głupiej dziwki. „I wiecie co – kończył swoją opowieść, stojąc na kołyszących się nogach z kieliszkiem w dłoni – czasem, kiedy mam dostarczyć dziewczynę do klienta, dzwonię specjalnie po niego, niech się uczy”.

Teodor należał do ludzi, którzy nie mają marzeń. Wcale nie dlatego, że pozbawiła go ich proza życia, wręcz przeciwnie, codzienna egzystencja była dla niego spełnieniem marzeń. Miał swój samochód, duże mieszkanie w drogiej dzielnicy i własną dyskotekę, miał atrakcyjną żonę o jasnych włosach i skórze, otaczał się ludźmi, którzy okazywali mu szacunek, miał też swojego prawnika i co najważniejsze: miał tyle władzy, by sprawiała mu ona przyjemność, nie wywołując przykrego uczucia niedosytu. Dlatego we wszystkim, co robił, widać było jego absolutną afirmację mijającej właśnie chwili, wiązał krawat nie po to, by dobrze wyglądać w czasie kolacji, ale by leżąca na łóżku młoda kochanka uznała ten gest za szczególnie męski i pociągający. W takim samym celu wypowiadał zdania kierowane do wystraszonego taksówkarza. Dobrze wiedział, że Bartel nigdy w życiu by mu się nie postawił, nigdy jednak nie mógł oprzeć się pokusie i po raz kolejny udowadniał swoją przewagę.

– Wiesz co, Tomek – powiedział gangster poważnym tonem – każdy dostaje od losu szansę. Każdy. Problem w tym, czy potrafi się ją dostrzec, a potem wykorzystać. A ty? Myślisz, że wiesz, co zrobić, żeby nie wpadać w kłopoty, ale żeby wykorzystać swoje pięć minut?

– Jasne, wiem, co mam zrobić – odpowiedział spokojnie Bartel, choć wcale nie wiedział, jak się zachować.

– Świetnie. – Gangster rozpogodził się. – Być może los uśmiechnął się i dał ci szansę.